



maty **TYGODNIK**

Rok 3

Gorzów, dnia 21 listopada 1948 r.

Nr 45



Czy już naprawdę nie jestem warta

Legenda

Pod zimnym skalnym głazem, co grotę po dziś strzeże, wiek zgórą śnili razem skrzydlaci dwaj rycerze. A każdy z nich we zbroi cierpliwie czekał chwili, gdy kamień tych podwoi nadziemską moc uchyli i razem z blaskiem słońca, co padnie na ich czoła — rozlegnie się głos gońca: „**CZAS WSTAWAĆ — POLSKA WOŁA!**”

Mijały dni, miesiące,
mijały liczne wiosny,
lecz rycerzyków śpiących nie budził zew radosny i nikt nie ruszał głazu, ni promień słońca złoty, nie przedarł się ni razu do tajemniczej grotę!...

I tak byliby spali, Bóg wie jak długo jeszcze, gdyby nie chłopcy z hal, którzy — nie bacząc na deszcze i na to, że z skały śliskiej spaść można i nie oglądać świata — szukali w Kościeliskiej¹⁾ pierwszych wiosennych kwiatów!...

Maj był na ziemi,
królewicz — maj ten wonny
co barwy przeróżnymi przydrożne czeił
MADONNY i u stóp każdej MEKI nad
miedzą czy u dróżki — zatykał lilij pęki,
stokrocie i ostróżki, — a jeno w górskim
świecie, gdzie jeszcze chłód się sroży —
goryczki²⁾ pierwsze kwiecie wychylił na
świat Boży!...

I oto za tym kwiatem w pogoni a w zapale skrzat pnie się wzwyż za skrzatem po nagiej, śliskiej skale, aż — wreszcie — z kwecia sploty — znużeni siedli razem jak raz u wnijsia grotę, przywartej wielkim głazem. Przez chwilę wzrok ich błędził po dziwnym skały zrębie, lecz nikt z nich ani sądził, że kryje pieczar głębie;
że wejścia z dawna strzeże
w tajemne te podwoje;

że obok — śpią rycerze, zakuci w srebrne zbroje!.. Aż oto jeden z grona chłopczyzna jasnowłosa, podniósłszy wzwyż ramiona i oczy swe w niebiosa — zawołał z piersi całej:

O, Boże!

żle na świecie!!! — — —

Wtem... pada dziwna skała, przywala zerwane kwiecie i przed drżącymi malcami, co jeli szeptać pacierze — z orlimi u ramion skrzydłami stanęli dwaj rycerze!...

Na każdym — lśniaca zbroja
i skroń — przyłbica tłoczy,
spod której patrzy dwoje ogromnie smutnych oczu i na pobladłej twarzy wyraz zdziwienia majaczy, kto się ich budzić odważy!?!.. co krzyk chopca znaczył?!?...

Dopiero żalić się jeli małe skrzaty, ile to w świecie biedy! ile skarg z każdej cha-

o dwóch tatrzańskich rycerzach, czyli jak to dobro i sława zapanowały na Podhalu.

ty bije o niebios podwoje, a nikt w obronę nie bierze...

Dźwięknęły kowane zbroje, spojrzeli na się rycerze!...

— Czas! — szepnął jeden po chwili

— Czas! — odparł drugi półgłosem:... a żeście nas zbudzili — zajmujemy się waszym losem!!!!...

— Jam — DOBRO! — pierwszy z nich rzecze.

— Jam — SŁAWA! — drugi odpowie, — mówiąc to, schowali miecze i zeszli ku dąbrowie — i tylko chłopcy słyszeli przez moment niespełna cały, jako w słonecznej topieli orłowe skrzydła szumiały!...

I od tej już chwili, jak wielkie jest Podhale — ludzie się nie skarżyli na swoją dolę wcale, bo DOBRO — stało się **dobrem**, tak ojców, jak dziątek, a SŁAWA im przyniosła i sławę i dostatek.

E. K.

¹⁾ dolina Kościeliska w Tatrach;

²⁾ kwiat górski — szafirowy.

Józef Baranowski

Nocka

Płynie księżyc
W srebrnej łódce
Nad nim gwiazdka mruga.
Wioskę nocka otuliła
Późna nocka — długa.
I pogasły
Już w okienkach
Światelka.
Śpią ludzie.
Każdy bowiem rad odpocząć
Po codziennym trudzie.
Tylko czujny
Pies Azorek
Głośno poszczekuje,
Daje znać, że gospodarstwa
Wśród nocy pilnuje.

Kij na drodze

Leżał sobie kij na drodze i przeszkadzał każdej nodze. Ten się potknął, ów się potknął, tamten go niegrzecznie kopnął, a nikt dalej nie odrzucił, a mały Jaś biegnąc nawet się przewrócił. Aż nadeszła starowinka, pochyłona i zgarbiona, w ręce zaś nie miała laski, więc wolniutko przez te piaski, idzie sobie tak tą drogą — a wtem co to? patrzy, kij na piasku leży, własnym oczom swym nie wierzy.

— Podnieś mnie, — kij — zda się — prosi, więc staruszka go podnosi. — O, kijaszkę mój kochany, w pięknym lesie wychowany! będą z ciebie mieć wygodę moje nogi już niemłode, będą z ciebie mieć podporę moje nogi bardzo chore. Jesteś mocny, długi w miarę, ujmą cię me dłonie stare, doskonała laska będzie, powędrujesz ze mną wszędzie.

I poszli sobie dalej starowinka i ów kij, co to leżał niedawno na drodze i tylko przeszkadzał niejednej nodze.

M. Ch. S.

Pies

W ciasnej budzie drzemał ospale pies, mrużąc oczy przed blaskiem zachodzącego słońca. Coś dziwnego działo się w psim sercu. Wspominał bujną młodość, nocne wyprawy, łowił z przeszłości szybki lot przepiórek, węszył płochę zające umykające przed nim w trwodze — a nadewszystko marzył o wolności.

Nie zawsze bowiem był uwiązany do ciemnej psiej budy — kiedyś miał dobrego pana, który go kochał, i z którym namiętnie polował tropiąc zwierzynę.

Dawne to dzieje — pan na wojnie, a dla psa rozpoczął się ciężki żywot. — Nie mając domu ni kąta, rozwłóczył się na dobre, miejsca nie zagrzał, zatracił zdolność tropienia i kończył psią karierę na obcym podwórku.

Dzisiaj bardziej był smutny i bardziej spragniony wolności. Zapadał zmierzch. Słońce skryło się za ciemnym pasem przecinającym horyzont i choć cisza błdziła, w psie krew bujniej, goręcej zawrzała. Poczut się młodym, silnym i zdolnym do ucieczki. Ale łańcuch mocno był kuty, obroża boleśnie wznęła się za każdym gwałtowniejszym ruchem — on jednak wyteżał wszystkie siły, mocno zaparł się łapami o twardą ziemię i nie ustawał w pracy.

Słyszał radosne poszczekiwanie psów, rżenie pasących koni na łąkach, a od lasu dolatywały dobrze znane głosy zwierząt. Wszystko to nęciło i wołało ku sobie.

Ostatnim wysiłkiem wyrwał łańcuch, przysiadł na moment, poderwał się rażno i w szalonych podskokach popędził do pobliskiego lasu.

Noc była jasna a psie serce po brzegi wypełnione radością. Zagłębił się w szumiącą zieleń, wtulił ogon i gnał przed siebie, zapominając o bólu w karku od twardej obroży. Był wolny i cenił wolność nade wszystko! A kiedy noc blednąć zaczęła i nowy dzień zbliżał się powoli, pies przystanął na chwilę i ujrzał z poza widno-

kręgu wyłaniającą się czerwoną kulę, która blaskiem swym zaróżowiła niebo. Posuwała się zwolna przeistaczając w złote, gorejące słońce. Z tą chwilą ciemny las stawał się mniej obcy, tajemniczy, jakby bardziej znajomy.

Pies odetchnął znużony i legł w cieniu szumiących drzew. Przez zielone korony spływało złoto i łagodnie grzało kark i psie łapy. Poczut pragnienie i szukał w nieznanym zakątku strumyka, by zwilżyć wyschnięte w biegu gardło. Węsząc rozpoznał słodką woń szumiącej wody w kotlinie i zwłókł się zmęczony. Woda była przejrzysta, zimna, wstał więc w jej koryto pijąc łakomie, a potem chłodził w falach ciało, i poczuł się mocnym, czujnym na każdy najmniejszy nawet szelest opadających z drzew liści...

Był w „formie“ jak za dawnych czasów, kiedy z panem chodził na łowy.

Kiedy poczuł głód, zaczął węszyć w zaroślach, ale prócz słodkich jagód nic nie znalazł — wypłoszył w słońcu drzemające jaszczurki i leniwie pełzające węże.

Zmienił więc kierunek, skreślił na zbocza lasu i wydostał się na słońcem oblaną polanę.

Cisza była tu ogromna, a jednak posłyszal jak gdzieś z bardzo daleka dolatywały ludzkie głosy i ogarnął go lęk przed nową niewolą. Przyczaił się w zaroślach i czekał. A głosy płynęły coraz wyraźniej, podobne do morskiej fali — drżały w powietrzu zerwaną struną, cichły, by za chwilę przeciągłym echem uderzyć o biedne psie serce.

O jak nienawidził teraz ludzi — nawet ich głos z daleka płynący jeżył sierść na obolałym karku, a groźne pomruki wydobywające się z gardła, świadczyły, że woli raczej zginąć, a nie dać się przykuć łańcuchem do budy. Był zdecydowany na walkę, oceniając coraz spokojniej groźną sytuację. Tymczasem słońce coraz wyżej wędrowało po niebie zagładając w każdy niemal zakątek lasu i w psie oczach dziką płonącą nienawiścią. Zamilkł, czekając odpowiedniej chwili. Wreszcie usłyszał zbliżające się kroki i głosy zbliżających się ludzi. Spojrzał gotując się do skoku, i nagle zadrżał jak mały, biedny szczeniak, bo tuż, prawie ocierając się o niego, szedł ze strzelbą na ramieniu jego pan ukochany opowiadając ze wzruszeniem o swoim dobrym psie-przyjacielu. Poderwał się, skoczył na piersi, zalił się jak dziecko.

Nie zastanawiał się nad przyczyną wielkiej radości, pogrążony całym psim sercem w szczęściu, zapominając o złym, które zostawił za sobą — i podążył za panem nie opuszczając go ani na chwilę.

Marja Dierżyńska



Siedmiu dzielnych ministrantów

Dwa kotki

Była sobie Krysia mała
Co dwa kotki śliczne miała
Jeden bury — drugi biały
Futerka puszyste miały

Krysia rączką ją otacza
O ich zdrowie zabiegała
I pieściła, całowała
Tyle z nich radości miała

A koteczki rosły w siły
I wesołe zawsze były
Figle, harce, ciągle psoty
Nie zabrakło im ochoty

Z włóczki jeden kłębek toczy
Zaraz wpadł drugiemu w oczy
Ot i bitwa rozpoczęta
Straszna, długa i zacięta

Krysiu patrz, ach patrz Kochanie
Co się tutaj zaraz stanie
Moja włóczka na nic będzie
Gdy ją tak rozwłóczą wszędzie

Niechże babcia nie rozpacza
Krysia rączką ją otacza
Patrz jak kotkom jest wesoło
Jak gonią się ciągle w koło

Więc też proszę babciu złota
Że choć na nic twa robota
Nie gniewaj się o to wcale
Bo ja bawię się wspaniale

Dobrze, dobrze już Kochanie
Niech się zatem jak chcesz stanie
Babcia wnuczce nie odmówi
Za bardzo ją na to lubi.

Więc Krysia do kotków spieszy
Tak się bardzo z figla cieszy
Porywa im kłębek z włóczki
I rzuca się do ucieczki

Gońcie kotki, gońcie proszę
Kiedy ja wasz kłębek noszę
Babcia z krzesła się podnosi
I zboliałym głosem prosi

Przestań Krysiu, przestań proszę
Bo już tego to nie zniosę
Lecz daremnie babcia prosi
Krysię jakby szał unosi

Co tam dla niej babci żale
Woli ich nie słyszeć wcale
Po pokoju goni, krzyczy
Z nikim zgoła się nie liczy

Kłębkiem niby piłką miota
Tak roznosi ją ochota.
Aż... trafiona lalka spada
W drobne szczątki się rozpada

Krysia płacze wieczór cały
Wszak to smutek jest nie mały
Lalkę miała tylko jedną
Jakaż teraz będzie biedną.

Tak zabawa się skończyła
Chociaż była taka miła.

Uśmiechnij się!

Po powrocie ze szkoły

Synuś: Proszę taty, już nie siedzę w oślej ławce.

Ojciec: To ładnie, a dlaczego?

Synuś: Bo ją stolarz wziął do naprawy.

W dawniejszej szkole

Ojciec: No i cóż nauczyliście się w szkole?

Syn: Nic, bo nas jest dużo, a nauczyciel wali nie ma czasu uczyć.

Redaguje ks. Mgr Szalagan
Gorzów, ul. Łokietka 18.